



2(2)/2011

JAN ROKITA

## **Rewolucja arabska: przekroczenie granicy chaosu (analiza polityczna)**

### I. WIECZÓR PARADOKSÓW

Czwartkowy wieczór 17 marca otworzył nową fazę arabskiej rewolucji. Krótco po wpół do dwunastej polskiego czasu telewizja Al Jazeera transmitowała na żywo dwa jednoczesne obrazy: po lewej stronie ekranu chińskiego ambasadora Li Baodonga odczytującego w Nowym Jorku wyniki głosowania w Radzie Bezpieczeństwa nad rezolucją 1973, po prawej – liczne zgromadzenie powstańcze w Benghazi wybuchające euforią w chwili oznajmienia przez Chińczyka, iż żaden z krajów nie zagłosował przeciw. Krótco potem na tle okrzyków „Libia! Libia!”, śpiewów słynnej już powstańczo-sentymentalnej pieśni *Saufa nabka huma* („Zostaniemy tutaj”)<sup>1</sup> i karabinowych wystrzałów w niebo jakiś Arab w beduińskim ubraniu i turbanie mówił

---

<sup>1</sup> Por. Jerzy Haszczyński, *Pieśń wolnych Libijczyków*, „Rzeczpospolita” 12-13 marca 2011.

do kamery łamaną angielszczyzną: „Ameryka, Francja postanowiły uratować nas przed zemstą Kaddafiego. Dziękujemy, bardzo dziękujemy!”. Tydzień później, 23 marca – już po pierwszej fali bombardowań – w Al Jazeera można było oglądać na żywo inne wielotysięczne zgromadzenie w Benghazi, odbywające się pod sztandarami Libii, Francji, Kataru i... USA, a nazwane „wiecem podziękowania”. Wszystko to są sceny nie widziane od dziesięcioleci, a już całkiem niesłychane na ekranie Al Jazeera, której siedziby w Bagdadzie i Kabulu Amerykanie jeszcze niedawno „przypadkowo” bombardowali, rozważając nawet – jeśli wierzyć uporczywie powracającym pogłoskom – zniszczenie centrali stacji w zaprzyjaźnionym Katarze<sup>2</sup>. Przełom 17 marca polegał na tym, że rewolucja wewnątrzarabska osiągnęła tego wieczoru stadium międzynarodowego kryzysu, tracąc tym samym swoją romantyczno-młodzieńczą czystość i stając się kolejną, już trzecią w ciągu tej dekady, wojną prowadzoną przez Zachód w geopolitycznej strefie Islamu. Stało się to w czasie, w którym praktycznie wszyscy przywódcy zarzekali się, iż po doświadczeniach afgańskich tak Ameryka, jak i Europa definitywnie skończyły z polityką zbrojnych interwencji w świecie islamskim. Gdyby w Sylwestra 2010 chcieć przewidzieć najmniej prawdopodobne zdarzenie polityczne w ciągu nowego roku, euro-amerykańska zbrojna interwencja w kolejnym kraju muzułmańskim zapewne mogłaby wygrać taki plebiscyt. Ale co szczególnie doniosłe – nowa wojna całkowicie wykroczyła poza znaną logikę konfliktu cywilizacji, albowiem prowadzona jest w obronie upadającego pod naporem wojsk Kaddafiego ludowego powstania muzułmańskiego. Dodajmy: powstania, którego przez całe lata świat zachodni panicznie się obawiał, a z tej obawy albo odkładał myślenie o nim całkiem na bok, albo umacniał skorumpowane arabskie tyranie, starając się nie widzieć środków, jakimi rozprawiają się one z potencjalnymi buntownikami. Jednak u końca marca 2011 roku każdy Arab już wie, że Arabska Wiosna dawno by się zamieniła w ciężką zimę bez francuskich, amerykańskich i brytyjskich samolotów. I jest to dla niego zapewne całkiem nowa wiedza o Zachodzie.

---

2 George Bush jr. miał taki plan konsultować w 2004 r. z Tony Blairem, por. Robert Stefanicki, *Rewolucja na żywo*, „Gazeta Wyborcza” 12-13 lutego 2011.

Politycznych paradoksów tamtego wieczoru było więcej. W Radzie Bezpieczeństwa Amerykanie i Anglicy wsparli inicjatywę sygnowaną przez Francję i Liban, w którym dopiero co pełnię władzy przejął – oskarżany nie bez powodu o terroryzm – szyicki Hezbollah. Liban nie jest faktycznie krajem suwerennym, a spektakularne zaangażowanie Hezbollahu na rzecz zachodniej interwencji to nic innego, jak niedwuznaczny sygnał dyskretnego wsparcia tej akcji przez reżim irański. Tymczasem największy amerykański sojusznik – Niemcy, wstrzymując się wraz z Chinami i Rosją od głosu, manifestował swoje niezadowolenie, wieszczył eskalację konfliktu poprzez zachodnią interwencję, a także – mocnymi słowami ministra Westerwelle – z góry wykluczał jakąkolwiek niemiecką partycypację w jeszcze jednej islamskiej awanturze<sup>3</sup>. Podczas następujących po sobie kolejnych bezowocnych spotkań konsultacyjnych NATO niemiecki ambasador ostentacyjnie nie odzywał się albo informował, że nie ma z Berlina pełnomocnictw do podejmowania decyzji. Przy tej okazji – jak to niestety zazwyczaj bywa w trakcie poważnych kryzysów – nie tylko rozplynęła się polityczna podmiotowość Unii Europejskiej, ale ujawniło się także zasadniczo odmienne pojmowanie międzynarodowych realiów przez Berlin i Paryż. Francja w ciągu dwóch miesięcy całkowicie zdołała przewartościować swoje podejście do świata arabskiego, by w końcu podjąć bardzo duże ryzyko i zaimprovizować własną „mocarstwową” grę na śródziemnomorzu. Niemcy – znacznie mniej elastyczne i z trudem rozstające się ze sprawdzonymi przez lata schematami – pozostały wierne tradycyjnej polityce europejskiego „głównego nurtu”, sprowadzającej się w uproszczeniu do dwóch przekonań. Jednego – dawnego i trwałego, że ktoś tych Arabów musi trzymać za twarz, bo inaczej będzie z tego nieszczęście. I drugiego, świeższej w Europie daty, że zachodnie interwencje zbrojne w świecie islamskim nie mogą mieć dobrego finału. Joschka Fisher napisał, że Niemcy straciły w ten sposób międzynarodową wiarygodność, pogrążyły się w „introspektywnym prowincjonalizmie” i nigdy dotąd nie były tak izolowane. Zaś bezstronny duński analityk pozwolił sobie nawet na taką ocenę: „To jasne, że Berlina w dziedzinie bezpieczeństwa nie

<sup>3</sup> Wypowiedź ministra Guido Westerwelle dla „Deutschlandfunk” 17 marca 2011.

można odtąd traktować serio”<sup>4</sup>. Polska – co warto zauważyć tylko na marginesie i bez satysfakcji – postanowiła w tym kryzysie biernie i dokładnie kopiować politykę niemiecką.

Niemniej paradoksalna okazała się polityka konserwatywnych sunnickich monarchii z Półwyspu Arabskiego. Formułując wniosek Ligi Arabskiej do ONZ o ustanowienie nad Libią strefy zakazu lotów, walnie wpłynęły one na reorientację chwiejnej dotąd taktyki Amerykanów, albowiem dostarczyły im dwóch nieodparty argumentów na rzecz interwencji: jedności arabskiej opinii oraz podstawy prawnej w postaci rezolucji Rady Bezpieczeństwa. Gdyby nie dość daleko posunięta jednomyślność całej Arabii – wyłom bezpośrednio zagrożonych rebelią Syrii, Algierii i Jemenu nie ma tu istotnego znaczenia – nie byłoby ani rezolucji ONZ, ani zachodniej interwencji. W tym sensie można powiedzieć, że konserwatywne monarchie pośrednio uratowały zagrożoną przez Kaddafiego rewolucję panarabską i umożliwiły jej dalsze rozprzestrzenianie się nie tylko do Syrii, ale także na Półwysep Arabski. A tam saudyjski król Abdullah, wraz z zaprzyjaźnionymi władcami Kuwejtu, Emiratów i Kataru właśnie wysyłał swoją armię, aby ratować wasalną *de facto* wobec niego bahrajńską dynastię Al Chalifa. Zapewne nie jest przypadkiem, że król Bahrajnu Hamad II – który po pierwszych zamieszkach wycofał wojsko ze stolicy, wypuścił na wolność więźniów politycznych i kazał następcy tronu zapraszać na pogawędki do pałacu zwaśnionych z sobą opozycjonistów – na wieść o rysującej się zbrojnej interwencji Zachodu drastycznie zrywa z kilkutygodniową taktyką względnej łagodności i 16 marca przeprowadza atak policji na demonstrantów, nocne aresztowania liderów opozycji, burzy wzniesione przez demonstrantów miasteczko namiotów, a nawet – i to jest chyba najlepsza miara jego desperacji – każe zwalić Pomnik Perły w Manamie, który urósł już do roli symbolu wolności. W tym samym czasie – 18 marca, w dzień po uchwaleniu rezolucji 1973 – snajperzy jemeńskiego dyktatora Ali Abdullaha Saleha urządzają krwawy piątek studentom protestującym w Sanie, zaś policja innego tyrana Baszara al Assada równie krwawo

---

<sup>4</sup> Joschka Fischer, *The Wrong German Foreign Policy*, „Project Syndicate – The World of Ideas” March 24<sup>th</sup>, 2011; Daniel Korski, *Powstańcy mogą odechnąć*, „Gazeta Wyborcza” 19-20 marca 2011.

rozprawia się z proklamowanym przez młodzież „piątkiem godności” w syryjskiej Darze. Równoczesność, nagłość i paniczność tych reakcji pokazuje, że tak samo oświecony sunnicki król, jak i brutalni szyi tyrani wiedzą doskonale, że zbrojna interwencja Zachodu po stronie rebelii libijskiej musi dodać skrzydeł także ich buntownikom, więc pospiesznie próbują im te skrzydła raz na zawsze obciąć. Nic zatem dziwnego, że przy tak daleko idącej ambiwalencji prorewolucyjna solidarność Ligi Arabskiej łamie się wraz z początkiem prawdziwych bombardowań. Wystraszona własną wcześniejszą odwagą Liga wyda jeszcze tylko jawnie absurdalny komunikat, iż w Libii „oczekiwała strefy zakazu lotów, a nie bombardowań”, dość nieprzekonywająco udając, że przywódcy arabscy nie rozumieją znaczenia terminu „no-fly zone” i nie słyszeli długiej wcześniejszej debaty o jej militarnych skutkach<sup>5</sup>. Także nowy Egipt i nowa Tunezja odmówią wojskowej współpracy w Libii, mimo usilnych próśb Sarkozy’ego i specjalnej misji Hillary Clinton. Jedynie emir Kataru, grający od dawna finezyjnie i z niejakim powodzeniem na dwóch fortepianach, wyśle jednocześnie swoją policję do Bahrajnu – aby rebelię dusić, a nowoczesne myśliwce do Libii – aby rebelię ratować i rozniecać! Nietrudno w tej sytuacji przewidzieć, że zachodnia interwencja stoi nieuchronnie przed dylematem: zostawić Libię w chaosie albo wzmacniać pomruki niezadowolenia co najmniej większości arabskich rządów.

## II. LOKOMOTYWA NA ULICY

Czemu Ameryka porzuca najbliższego sojusznika – prezydenta Mubaraka i sprzymierza się w ONZ z Hezbollahem w obronie groźnej dla jej interesów rebelii, w czym na dodatek dyskretnie wspiera ją reżim irański? Dlaczego Francja odwraca swoje sojusze w Afryce, a Niemcy występują w sytuacji kryzysu (chyba pierwszy raz od powstania Republiki Federalnej) przeciw anglo-franko-amerykańskiej koalicji? I co w końcu sprawia, że dynastia saudyjska dyplomatycznie wspiera ludowe powstanie Arabów, a drżąc ze strachu, że sama

<sup>5</sup> Por. *Arab League Condemns Bombing of Libya*, Reuters, March 20<sup>th</sup>, 2011; *No-Fly Zone for Libya Would Require Attack: Gates*, Reuters, March 2<sup>nd</sup>, 2011.

może paść jego ofiarą, posyła do sąsiadów wojska, aby pomóc owo powstanie stłumić? Co najmniej od 17 marca można odnieść wrażenie, że istotni uczestnicy kryzysu arabskiego mówią i robią to, czego nie chcieliby w gruncie rzeczy ani mówić, ani robić. I dotyczy to nawet Rosjan i Chińczyków, których francuska perswazja i fanatyczna wieczorna mowa Kaddafiego – zapowiadająca zemstę na zbuntowanym Benghazi „jeszcze tej nocy”<sup>6</sup> – skłania niemal w ostatniej chwili do wycofania się z zapowiadanego weta do projektu rezolucji Rady Bezpieczeństwa, a tym samym niechcianego – i w zasadzie sprzecznego z międzynarodową strategią obu państw – przyzwolenia dla zachodniej interwencji. Brytyjski historyk Niall Ferguson, dowodząc niegdyś nagłości i nieprzewidywalności momentu upadku imperiów, użył metafory odwołującej się do popularnego surrealistycznego plakatu. Stara lokomotywa przebija na nim ścianę dworca Liverpool i wyjeżdża na zatłoczoną ulicę londyńskiego City. „Uszkodzony hamulec albo śpiący maszynista wystarczy, aby przekroczyć granicę chaosu” – pisze Ferguson<sup>7</sup>. Jak się okazuje, wystarczy także zdesperowany chłopak z miasteczka Sidi Bu Said, który skrzywdzony i upokorzony przez urzędników, w akcie desperacji dokona samospalenia. A ściślej mówiąc: jego najbliższa rodzina, która wbrew strachowi przed represjami, rozkrzewi wiedzę o jego proteście. Kiedy pierwsze relacje pojawią się na Facebooku, lokalne władze przestrzegane przez co roztropniejszych obywateli – z lekceważeniem zignorują ów przypadek<sup>8</sup>. Lecz kiedy do akcji wkroczy Al Jazeera, czyniąc desperata sławnym męczennikiem, a zdarzenie przekształcając w zarzewie ludowego buntu – nie będzie już czasu na rozsądek. Sam prezydent Ben Ali z żalem przybędzie do łóżka umierającego chłopaka, ale na to wszystko będzie już za późno. Lokomotywa przebiła już bowiem ścianę dworca i wyjechała na ulicę City.

6 „Nadejdziemy jeszcze tej nocy i nie będzie miłosierdzia. Wszystkie domy będą przeszukane, a każdy kto ma broń będzie wrogiem”. Przekład za relacją na żywo Al Jazeera, ok. godz. 20:00 czasu polskiego. Rezolucję przegłosowano o 23:32.

7 Niall Ferguson, *Złożoność i upadek*, „Przegląd Polityczny” 103 (2010), s. 166.

8 Por. Yasmine Ryan, *How Tunisia's Revolution Began?*, Al Jazeera, January 26<sup>th</sup>, 2011.

Polityczna doniosłość arabskiej rewolucji wzięła się właśnie z owego nieprzewidzianego albo lepiej nieprzewidywalnego „przekroczenia granicy chaosu”. Owszem, od czasu do czasu w świecie deliberowano nad tym, co stać się może, jeśli narastający od lat trend islamskiego fundamentalizmu wybuchłby także i przejął władzę w jakiejś części Arabii; czym to groziłoby Izraelowi i w jakich opałach mógłby znaleźć się Zachód. Okazje do takich rozważań stwarzały w szczególności zamachy terrorystyczne w Egipcie (jak ten najślawniejszy na turystów w świątyni Haczepsut w roku 1997) albo – traktowane jako zrządzenie Opatrzności – antyislamskie przewroty wojskowe (jak ten w Algierii w roku 1991). Sytuacja islamistów u władzy jawiła się wprawdzie zawsze jako niebotyczna katastrofa, ale przynajmniej podział na wrogów i sojuszników powinien być w niej dość czytelny. Dlatego Kongres USA wziął na utrzymanie państwo egipskie, nie bacząc na skalę korupcji Mubarak, CIA zaopiekowała się i zaprzyjaźniła z okrutną egipską policją polityczną, Tony Blair dostarczył Kaddafiemu snajperskiej amunicji (na Facebooku można było przeczytać: „Anglicy zgodzili się na to, aby ich amunicją zabijać Libijczyków”<sup>9</sup>), Silvio Berlusconi wyposażył go w szybkie ślizgacze, dziś groźne na Morzu Śródziemnym<sup>10</sup>, a ekipa Sarkozy’ego jeszcze dwa dni przed ucieczką Ben Alego z Tunezji ofiarowywała mu praktyczną pomoc w rozprawieniu się z buntem. Dwa lata wcześniej przywódcy świata w grupie G8 zasiedli w Aquili z Kaddafim do wspólnej dyskusji o niebezpieczeństwie głodu oraz o światowym handlu. Islamistyczny pucz z Al Kaidą w tle – o takiej możliwości Zachód myślał z niepokojem. Ale rozlewająca się poprzez granice zwycięska pokoleniowa rewolucja, z wolnościowymi i demokratycznymi hasłami? To w islamie miało się nie móc zdarzyć. Po upływie kilku miesięcy od czasu, gdy iskra zapłonęła w Sidi Bu Said, nazbyt łatwo przychodzi krytykować „ślepotę” zachodnich demokracji i zapominać o powszechności ówczesnego stanu zachodnich umysłów. Ten sam Ferguson zapewne miał sporo racji, naśmiewając się na czołówce „Newsweeka” z nieprzygotowania ekipy Baracka Obamy do rewolucji w Egipcie,

<sup>9</sup> *Inside Story*, Al Jazeera, February 23<sup>th</sup>, 2011.

<sup>10</sup> Por. *No-Fly Zone in Libya: Will It Work?*, „The Economist Online” March 18<sup>th</sup>, 2011.

podobnie zresztą jak komentator „The Economist”, określający gwałtowną tunezyjsko-libijską voltę Nicolasa Sarkozy’ego przypadkiem „niepokojącego robienia polityki przez impuls i improwizację”<sup>11</sup>. Tyle tylko, że to jest prawda o wszystkich państwach i o wszystkich rządach, ba, zapewne także o samych organizatorach i uczestnikach arabskiego buntu. W sytuacji „przekroczenia granicy chaosu” pozbawione wyobraźni niemieckie trzymanie się politycznego schematu jest taką samą improwizacją polityki, jak Sarkozy’ego miotanie się od ściany do ściany albo wahliwe i ostrożne powiększanie pola poparcia i zaufania dla rewolucji, z jednoczesnym stawianiem jej terytorialnych granic w wydaniu administracji Obamy. W zachodnim klubie niewątpliwie najgorsze wrażenie musi robić ekipa Berlusconi’ego; od zimnej obojętności rządu Merkel na los zbuntowanych Arabów różni ją gadatliwość i cynizm. Kiedy libijskim powstańcom udało się przepędzić wojska rządowe z Benghazi, włoski minister Frattini z niepokojem przestrzegał przed „islamistycznym emiratem powstającym na rubieżach Europy”, a gdy tylko Kaddafi rozpoczął zbrojną kontr ofensywę, ten sam minister – jeszcze przed uchwaleniem rezolucji 1973 – informował świat, że „Kaddafi zapewne pozostanie u władzy, choć grozi mu izolacja polityczna i gospodarcza”<sup>12</sup>. Dwa dni później rząd włoski udostępnił swoje bazy lotnicze do ataku na Libię, po czym od razu zaczął nieoficjalnie zrządzać na jego przebieg.

Rezolucja i interwencja okazały się możliwe dzięki powstałej na przełomie lutego i marca osi Paryż – Londyn, która na pewien czas przejęła przywództwo nad zachodnią polityką. W perspektywie licznych ostatnio debat o kondycji Unii Europejskiej i NATO nie sposób nie zauważyć, że stało się to całkowicie poza rozbudowanymi politycznymi i wojskowymi strukturami obu tych organizacji, także poza procedurami przewidzianymi przez Traktat Lizboński dla Wspólnej Polityki Zagranicznej i Bezpieczeństwa. Nadzwyczajne marcowe posiedzenie Rady Europejskiej skończyło się politycznym fiaskiem ze względu na spór francusko-niemiecki, NATO zaś przy niezdecydowaniu Obamy, samodzielności Sarkozy’ego

---

11 Niall Ferguson, *Arabska plama Obamy*, „Newsweek.pl” 20 lutego 2011; *Sarkozy’s Libyan Surprise*, „The Economist Online” March 14<sup>th</sup> 2011.

12 *News Hour*, Al Jazeera, February 21<sup>st</sup>, 2011; Robert Stefanicki, *Świat zostawił Libię*, „Gazeta Wyborcza” 17 marca 2011.



i sprzeciwach Erdogana potrzebowało 10 dni od rozpoczęcia operacji „Świt Odysei”, aby uzgodnić, że się nią zajmie. O ile w przypadku Unii inercja jest skutkiem prostej kolizji suwerennej polityki państw, w praktyce niemal zawsze towarzyszącej Europie podczas międzynarodowych kryzysów, o tyle nieprzydatność Paktu Północnoatlantyckiego w pierwszej, najważniejszej fazie interwencji może być zaskakująca. NATO, które w ciągu dwóch ostatnich dekad przyzwyczało nas do niezłej funkcjonalności w kryzysach, tym razem nie mogło zadziałać, gdyż – po pierwsze – pozbawione zostało amerykańskiego przywództwa, po drugie – początkowo nikt z istotnych graczy nie pragnął jego zaangażowania. Amerykanie – bo Obama jak ognia bał się wizerunku kolejnej amerykańskiej „krucjaty” tak w świecie muzułmańskim, jak i może jeszcze bardziej pośród swoich lewicowych wyborców, którym poprzysiągł przecież koniec wojen. Niemcy – bo każda aktywność NATO psułaby im przyjętą taktykę „umycia rąk” w arabskim kryzysie. Turcy – bo od pewnego czasu próbują stać się dość nachalnym rzecznikiem idei pełnej podmiotowości świata islamskiego względem Zachodu. A chyba najbardziej Francuzi, którzy po dość chaotycznym i radykalnym zwrocie odnaleźli nieoczekiwane pole dla francuskiej polityki narodowej i mocarstwowej. NATO – tym razem precedensowo pod dowództwem kanadyjskiego generała – przejęło operację wojskową w Libii dopiero wtedy, gdy Barack Obama znalazł się w Ameryce pod falą ostrzału za chaos polityczny i organizacyjny, brak jasno określonego dowództwa i dwuznaczną – przywódczą – nieprzywódczą – rolę USA<sup>13</sup>, Nicolas Sarkozy doznał porażki w próbach montowania euro-arabskiego Komitetu Politycznego zarządzającego bombardowaniami Libii, zaś Recep Erdogan przekonał się, że jego buńczuczne zapowiedzi mediacji z Kaddafim pozostają całkowitą mrzonką. Operację zlecono więc Sojuszowi na zasadzie mniejszego zła: skoro nie ma kto kierować, to trudno, niech jednak to będzie NATO.

Dość często można spotkać ostatnio opinię, że zwłaszcza radykalne przeobrażenie polityki francuskiej podczas kryzysu arabskiego wyniknęło z przedwyborczej gry mocno niepopularnego we Francji prezydenta Sarkozy’ego, który miałby na wojnie „zarobić” przedwyborcze punkty. Takie spłylenie źródeł francuskiej polityki

13 Por. *War by Global Committee*, „Wall Street Journal” March 21<sup>st</sup>, 2011.

nie bierze pod uwagę fundamentalnej dla Paryża kwestii geopolitycznej. W kręgu zachodniej wspólnoty nie ma drugiego narodu, dla którego emocje arabskiej ulicy w Benghazi albo Tunisie miałyby tak wielkie znaczenie wewnętrzne. We Francji żyje dziś sześć milionów osób o kulturze arabsko-muzułmańskiej, a na to, czy będą oni lojalnymi obywatelami, czy też narzędziem destrukcji francuskiej tożsamości, a w konsekwencji – republiki, przemożny wpływ mają i będą mieć ludowe emocje na drugim brzegu Morza Śródziemnego. Od czasu wojny algierskiej sprzed pół wieku wspólnota losu narodu francuskiego zależy w jakiejś i to niebłażej mierze od stanu spraw w całym obszarze śródziemnomorza<sup>14</sup>. Kiedy wybuchła rewolucja w Tunezji, pierwszym odruchem Paryża była gotowość pomocy Ben Alemu z obawy przed tryumfem islamistów w kraju tradycyjnie związanym z Francją. Islamiści u władzy w całym Maghrebie – to dla Francuzów musiała być wizja politycznego tsunami, nieuchronnie idącego na Paryż. Z tego wynikała zarówno kuriozalna, ale trzymająca się politycznej logiki inicjatywa minister Alliot-Marie z 12 stycznia, która proponowała Ben Alemu – ni mniej, ni więcej – tylko spacyfikowanie rewolucji z pomocą „umiejętności francuskich służb specjalnych w zakresie kontrolowania tłumów”, jak i zatwierdzona tego samego dnia przez rząd premiera Fillona dostawa francuskiego gazu łzawiącego dla Tunezji<sup>15</sup>. Wkrótce potem za swoją życzliwość (interesowną zresztą jak się okazało) względem tunezyjskiej dyktatury Alliot-Marie zapłacić musiała głową, a Francja uznała nagle, że dzieci Tunisu i Kairu to współczesni bojownicy o *liberté, égalité et fraternité*. Ten zwrot to podręcznikowy przykład ryzykownej politycznej ucieczki do przodu. Jeden z najbardziej wziętych francuskich telewizyjnych intelektualistów Bernard-Henry Levy stworzył nawet *ad hoc* teorię nastającego właśnie „wieku arabskiego oświecenia” – wyraźnie funkcjonalną względem zapotrzebowania politycznego Pałacu Elizejskiego<sup>16</sup>. Ten sam Levy

---

14 Por. Yves Lacoste, *Geopolityka śródziemnomorza*, Wydawnictwo Akademickie DIALOG, Warszawa 2010, s. 170-171; Dominique Moisi, *Sarkozy Goes to War*, „Project Syndicate – A World of Ideas” March 21<sup>st</sup>, 2011.

15 Por. *France Okayed Tear Gas as Tunisia Revolt Peaked*, Reuters, February 1<sup>st</sup>, 2011.

16 Por. *Riz Khan Show on the Battle for Libya's Soul*, Al Jazeera, March 11<sup>th</sup>, 2011.

po wizycie w Benghazi sprowadził do Paryża pierwszych przedstawicieli powstańczej Rady Narodowej, a także odegrał pewną rolę w przekonaniu prezydenta do prawdziwego zagrania *va banque*: przyjęcia w Pałacu Elizejskim przyszłego – jak się miało okazać – premiera rządu tymczasowego Mahmuda Dżibrila i uznania władz powstańczych za jedyną reprezentację wolnej Libii już 10 marca, czyli wtedy, gdy ani nie było wiadomo, co w ogóle dalej stanie się w tym kraju, ani – tym bardziej – kim są ludzie z Rady Narodowej i jaką mają wizję przyszłej polityki. Paryż prowadzi dzisiaj francuską (a nie zachodnią czy europejską) politykę śródziemnomorską, dysponując poparciem Wielkiej Brytanii i czyni tak ze względu na swoje najgłębsze narodowe interesy. Francuski zwrot łatwo zrozumieć i uzasadnić, ale zarazem nie sposób nie zauważyć, że stanowić on będzie odtąd koronny dowód braku przywiązania Francji do idei Europejskiej Wspólnej Polityki Zagranicznej i Bezpieczeństwa. O ile obojętność Brytyjczyków w sprawie europejskiej wspólnoty politycznej jest od dawna znana i nieskrywana, o tyle w przypadku Paryża kryzys arabski demaskuje – podejrzewany przez wielu – nacjonalizm i nieeuropejskość francuskiej doktryny polityki zagranicznej. Wbrew euroentuzjastycznym nadziejom Nicolas Sarkozy jest nikim innym, jak kolejnym późnym wnukiem gen. de Gaulle'a w Pałacu Elizejskim.

### III. MONARCHOWIE I AL JAZEERA

Doskonale dziś wiemy, że „przekroczenie granicy chaosu” nie mogłoby nastąpić, gdyby nie media. Dość dokładnie opisano istotną funkcję mediów społecznościowych – z Facebookiem i Twitterem na czele – tak we wzajemnym informowaniu się uczestników demonstracji i rozruchów, jak i w organizacji wieców i zdarzeń publicznych. Nietrudno było zauważyć, jak często uczestnicy rozruchów „idą w bój” z dwoma narzędziami walki: kamieniem w prawej i telefonem komórkowym w lewej ręce. Ale od portali znacznie ciekawszy jest przypadek telewizji Al Jazeera. Ta bowiem – w przeciwieństwie do mediów społecznościowych – nie jest sama w sobie politycznie neutralna, a wobec fenomenu „rewolucji internetowej”, czyli pozbawionej politycznego przywództwa, sama weszła *de facto* w rolę zbiorowego

przywódcy panarabskiego buntu. Al Jazeera nie tylko nadała światowe znaczenie wydarzeniom tunezyjskim wtedy, gdy mogły się one jeszcze wydawać izolowanym incydentem afrykańskim, ale w toku walk i zamieszek stworzyła fascynujący dla światowego odbiorcy fenomen żywej relacji uczestnika-dziennikarza amatora, który walczy, ryzykuje i na bieżąco pod pseudonimem (a może prawdziwym imieniem) opowiada o dziejących się właśnie wydarzeniach. Al Jazeera jest stronicza, perswazyjna, czasem propagandowa. Dlatego kairski Marsz Miliona skandował na Placu Tahrir: „Niech żyje Al Jazeera!”, a parę tygodni później proassadowski tłum w Damaszku krzychał: „Śmierć Al Jazeera!”. Telewizja transmitowała zresztą oba zgromadzenia. Kiedy czołgi Kaddafiego zbliżają się do Misraty, prowadzący program dziennikarz tak mniej więcej przekonuje na antenie członka obłożonych władz powstańczych w tym mieście:

Powiedz teraz Hillary Clinton i Sarkozy'emu co się z wami za chwilę stanie, jeśli natychmiast nie będzie pomocy. Powiedz! Mówisz w Al Jazeera, oni cię słuchają!<sup>17</sup>.

Telewizja świadomie buduje w duszach rebeliantów poczucie słuszności, wspólnoty, znaczenia i siły i w ten sposób roznieca rewolucję. To dlatego jej dziennikarzy wypędzono z Tunezji, Egiptu i Libii, zdemolowano jej biuro w Kairze i odebrano sprzęt, a w Cyrenajce zabito kamerzystę. Ale w walce o umysły i dusze katarska stacja odnosi zwycięstwo. Hillary Clinton powiedziała senatorom na Kapitolu, że Zachód „przegrywa właśnie wojnę medialną”, gdyż to Al Jazeera „zmieniła myślenie i podejście” Amerykanów<sup>18</sup>. Zaś Wadah Khanfar – dyrektor generalny stacji stał się, kto wie czy nie najważniejszym i – co tu dużo mówić – znakomitym rzecznikiem ideałów panarabskiej rewolucji w świecie zachodnim. Jego entuzjastyczna mowa wygłoszona podczas Konferencji TED w Long Beach w Kalifornii odwoływała się nie tylko do umysłów, ale i serc Amerykanów, a zbuntowani młodzi Arabowie wystąpili w niej w roli zwiastunów „rodzącej się nowej ery i lepszego świata”<sup>19</sup>.

---

17 *News Hour*, Al Jazeera, March 20<sup>th</sup>, 2011.

18 *Inside Story*, Al Jazeera, March 5<sup>th</sup>, 2011.

19 Przemówienie Wadah Khanfara na: *Technology, Entertainment & Design Conference 2011*, March 1<sup>st</sup>, 2011.

Z politycznej perspektywy najciekawsze jest jednak to, że – jak pisał nieżyjący już brytyjski medioznawca i krytyk stacji Fred Halliday:

(...) Al Jazeera nie jest wykwitem społeczeństwa obywatelskiego, ale własnością jednego bogatego człowieka, a zarazem ramieniem państwa i narzędziem polityki.

Właścicielem jest emir Kataru Hamad bin Chalifa z dynastii Thani, prezesem kuzyn emira, a budżet stacji jest niejawnym<sup>20</sup>. Inny krewniak emira, a zarazem premier Kataru był bodaj pierwszym mężem stanu krytykującym bierność świata wobec przemocy Kaddafiego i publicznym inicjatorem zebrania Ligi Arabskiej, które miało dać impuls dla uchwalenia rezolucji 1973<sup>21</sup>. Również jako jedyny arabski przywódca emir zdecydował wysłać swoje myśliwce do Libii. Jego Al Jazeera roznieca jednak rewolucję nie tylko w postsocjalistycznych dyktaturach arabskich, z czego emir może być zadowolony. Z jednakim entuzjazmem relacjonuje i podsycza protesty w zaprzyjaźnionym z emirem Bahrajnie i to ona właśnie wylansowała jako symbol arabskiej wolności tak znienawidzony przez króla Hamada II Pomnik Perły w Manamie. Wszystko to trzymało się nawet politycznej logiki, dopóki Hamad II wykazywał względność wobec szyickich demonstrantów. Kiedy jednak zmienił kurs, wezwał wojska saudyjskie i rozprawił się z opozycją – Al Jazeera i tym razem stanęła po stronie rebeliantów. Następnego dnia, w czwartek 17 marca, prezentowała wprawdzie także stanowisko konserwatywnych monarchów, ale główny nurt jej programów poszedł tropem logiki zaproszonego na antenę perskiego analityka, sensownie dowodzącego, że „to nie ważne, iż opozycjoniści z Bahrajnu są szyitami, ważne, że są to też ludzie pragnący wolności”<sup>22</sup>. Dzisiaj więc kwestia roli i przyszłości stacji staje się integralną częścią politycznej kwadratury koła całej Wschodniej Arabii. To prawda, że emir Hamad bin Chalifa jest w świecie arabskim przywódcą wyjątkowym.

20 Por. Robert Stefanicki, *Rewolucja na żywo*, art. cyt.

21 Por. *Interview with prime minister Hamid bin Jassim al-Thani*, Al Jazeera, February 21<sup>st</sup>, 2011.

22 Ghambar Naderi, *Inside Story*, Al Jazeera, March 17<sup>th</sup>, 2011.

Ale nawet w jego przypadku trudno wyobrazić sobie, aby kiedykolwiek w przyszłości mógł pozwolić swojej telewizji na powtórkę z Tunezji i Egiptu na Półwyspie Arabskim. Tak samo trudno jednak przypuścić, że po swych wielkich dniach z 2011 roku Al Jazeera porzuci panarabskie ludowo-wyzwoleńcze przesłanie. Kontynuacja misji rozsiewania arabskiej wolności musi skończyć się zatem dla niej jakąś solidną wewnętrzną kolizją.

Panarabska rewolucja nosi wyraźne znamiona uniwersalistyczne. W Tunezji obróciła się przeciw postsocjalistycznej dyktaturze, w Jemenie – przeciw szyickiemu dyktatorowi, a w Bahrajnie – przeciw rządzącej od 1783 roku sunnickiej, konserwatywnej dynastii. Założenie, że rebelia jest wolnościowym zrywem w tyraniach Zachodniej Arabii o lewicowej genezie i afiliacji ideowej, ale na Wschodzie – perskim spiskiem przeciw tamtejszym monarchiom, może okazać się trudne do utrzymania na dłuższą metę. Saudyjski pisarz Hussein Shobokshi nazywający wkroczenie wojsk króla Abdullaha do Bahrajnu „przyjacielską pomocą”<sup>23</sup>, jak i – co ciekawsze – Hillary Clinton argumentująca w tej sprawie dość podobnie (choć mniej kwiecicie) – nie są i nie mogą być przekonujący. I to nawet wtedy, jeśli zgodzimy się z realistyczną opinią, że zmiana demokratyczna w szyickim w większości Bahrajnie z jednej strony leży w interesie Iranu, z drugiej jest dopóty praktycznie niemożliwa, dopóki wpływową dynastia saudyjska gotowa jest przeciwdziałać jej siłą. To dlatego w Unii Europejskiej uważa się konflikt w Bahrajnie za bardziej niebezpieczny i wybuchowy niż ten w Libii, a opinia ta jest ponoć podzielana także w Waszyngtonie i w Moskwie<sup>24</sup>. Szkopuł tylko w tym, że o ile w odniesieniu do Mubaraka, Ben Alego i Kaddafiego Zachód z pewnymi oporami uznał co najmniej równoważność argumentów geopolitycznych i wolnościowych, o tyle wrogość i radykalizm szyizmu perskiego uniemożliwia mu przyjęcie takiej samej postawy wobec żądań wolności na Półwyspie Arabskim. Dlatego w ustach Hillary Clinton saudyjska interwencja jest tylko „pomocą”, a rozpadnięciu manifestanci z Manamy mają szansę na to, aby „spokojnie zacząć

---

23 Tamże.

24 Por. Andrew Rettman, *EU officials: Bahrain Situation More Dangerous than Libya*, „Euroobserver/Brussels” March 16<sup>th</sup>, 2011; Salman Shaikh, *The Bahrain Crisis and Its Regional Dangers*, „Brookings Doha Center” March 23<sup>rd</sup>, 2011.

chodzić do pracy i szkoły”, o czym całkiem na serio przekonywała publicznie w Paryżu amerykańska sekretarz stanu<sup>25</sup>. Nic dziwnego. Dla polityki zachodniej bowiem panarabskie powstanie od początku jest czymś w rodzaju dopustu Bożego. O ile jednak Zachód pod wpływem naporu zdarzeń oswaja się powoli z nowym, nieznanym jeszcze kształtem politycznym Zachodniej Arabii, o tyle z pewnością nie jest gotów przyłożyć ręki do wywrócenia sojusznicznych monarchii na arabskim Wschodzie. Krótko mówiąc: obalenie Kaddafiego traktowane jest już niemal jako konieczne, Assada – gdyby się okazało możliwe – akceptowalne, choć z dużą obawą o przyszłość, zaś Saleha – przyjmowane do wiadomości niemal z rozpaczą, gdyż – jak pisał konserwatywny amerykański analityk – jego rządy są w USA uważane za „ostatnią przeszkodę na drodze przekształcenia Jemenu w sanktuarium Al Kaidy”<sup>26</sup>. I ani kroku dalej! Główny obiekt zwłaszcza amerykańskiej troski – stary i schorowany monarcha saudyjski – po powrocie z leczenia w Ameryce wydał poddanym zakaz wszelkich manifestacji, ale polecił także ze swoich rezerw wyasygnować *ad hoc* kwotę 37 miliardów dolarów na cele socjalne swojego ludu<sup>27</sup>. Nie sposób – rzecz jasna – przewidzieć ani czasu, ani tempa zmian na Półwyspie Arabskim, jednak powolna ewolucja tamtejszych królestw w stronę europejskich monarchii konstytucyjnych wygląda na absolutne pobożne życzenie. „Samodemokratyzacja monarchii jest rzadkością we współczesnym świecie, częściej monarchie są obalane” – napisał ostatnio Shahdi Hamid – dworzanin emira Kataru, będący szefem badań Brookings Doha Center, *think tanku* założonego w 2008 roku wspólnie przez monarchę i Amerykanów, który dzisiaj służy także jako świetne zaplecze intelektualne Al Jazeera<sup>28</sup>. Jednak dowodził zarazem, że mimo wszystko konserwatywni monarchowie mają większy od swych nie lubianych kolegów-dyktatorów potencjał absorpcji i uspokojenia dzisiejszych rewolucyjnych nastrojów arabskiej

25 Por. *Press Conference of US Secretary of State after Paris Summit*, Al Jazeera, March 19<sup>th</sup>, 2011.

26 James Kirchick, *Libya and the Anti- Intervention Left*, „World Affairs Blogs” March 27<sup>th</sup>, 2011.

27 Por. Al Arabiya News Chanell, March 17<sup>th</sup>, 2011.

28 Por. Shahdi Hamid, *Why Middle East Monarchies Might Hold on?*, „Brookings Doha Center”, March 8<sup>th</sup>, 2011.

młodzieży: są bogatsi, dysponują dynastyczną legitymizacją i umieją być elastyczni. Dodać można, że przetrwanie arabskich królów w ich zliberalizowanych monarchiach miałyby jeszcze jedną wielką zaletę. Władza królewska nie musi przecież nosić coraz bardziej archaicznego w dzisiejszym świecie patrymonialnego charakteru, ale może stanowić na przyszłość znakomitą siłę ograniczającą potencjalne szaleństwa arabskiej niepokohowanej demokracji. Rewolucja otwiera przed arabskimi królami możliwość podjęcia próby budowy dobrego ustroju „mieszanego”, pytanie tylko, czy oświeceni sunniccy monarchowie są do tego zdolni? Jeśli jeden z arabskich królów podejmie z sukcesem taką próbę, inni będą zapewne zmuszeni pójść jego śladem. Lecz jeśli pewnego dnia i u nich w końcu zostanie przekroczona granica chaosu, Zachód nie będzie mieć realnych szans, aby przygotować się na tę chwilę. Zapanuje zapewne jeszcze większy polityczny ambaras i jeszcze bardziej paniczna improwizacja.

#### IV. MIĘDZY OŚWIECENIEM I REAKCJĄ

Choć rewolucja arabska wkroczyła już w swój czwarty miesiąc, wiele wskazuje na to, iż ciągle nie osiągnęła apogeum. Nieprędko też zapewne pojawią się rozstrzygające dowody tego, w jaką stronę podąży po niej świat arabski i czy w ogóle podąży w jakąś wspólną stronę? A w konsekwencji – jaka będzie skala przeobrażeń światowej polityki, gdy z rewolucyjnego kurzu zacznie się wyłaniać nowy kształt XXI-wiecznej Arabii. Co najmniej od 2001 roku stosunki Zachodu i Islamu stały się na powrót – jak przez wiele wcześniejszych wieków – najistotniejszym problemem politycznym świata, a trzecia z kolei w ciągu tej dekady euro-amerykańska wojenna wyprawa znów toczy się w świecie islamskim. W każdym razie obecna rewolucja już zdołała mocno odmienić paradygmat zachodniej debaty na temat islamu i co najmniej sproblematyzowała stawiane w niej główne tezy. Wspomniany Bernard-Henry Levy z właściwą sobie intelektualną przesadą obwieścił już przed kamerami Al Jazeera rozpad „głupio budowanej i błędnej koncepcji o rzekomej metafizycznej sprzeczności pomiędzy islamem a indywidualizmem”. W jego bardzo optymistycznym podejściu 2011 rok jest początkiem „ery arabskiego oświecenia” i w konsekwencji otwiera nie tylko



drogę arabskiej wolności i demokracji, ale także bardziej niż kiedykolwiek przybliży perspektywę „nowych relacji z Europą i pokoju z Izraelem”<sup>29</sup>. Ale w wizji Francuza widać nie tylko na pierwszy rzut oka intelektualną przesadę, ale również nieuprawniony euro- a raczej nawet franko-centryzm w interpretacji zdarzeń zza Morza Śródziemnego. Tahrir tymczasem nie jest Bastylią nie tylko dlatego, że nic nie wiadomo dotąd, aby miał swoich arabskich encyklopedystów, którzy przygotowali podeń duchowy grunt, ale przede wszystkim dlatego, że – inaczej niż w Europie – religia jest dziś w Arabii o wiele silniejsza, niż była jakieś pół wieku temu, kiedy socjalistyczne rewolucje miały tam miliony entuzjastycznych zwolenników. Co więcej, podstawy – nazwijmy ją tak – „reakcyjnej” argumentacji w kwestii arabskiej nie zostały dotąd definitywnie zburzone przez entuzjazm arabskiej młodzieży. Po pierwsze – mówią reakcyjniści – siłą owej młodzieży są być może jej „iskry w oczach” – wedle określenia znakomitego czeskiego dyplomaty<sup>30</sup> – ale nie ma ona ani przywództwa, ani organizacji, ani pieniędzy potrzebnych do zdobycia i utrzymania władzy, a to wszystko właśnie mają islamiści, którzy taktycznie na krótki czas przybrali maskę umiarkowania. Rewolucję można zrobić Facebookiem – dodają – ale nikt nie słyszał, aby media społecznościowe dawały moc wzięcia i utrzymania władzy. Po drugie – to żądania socjalne leżą u podstaw rewolucji. I gdyby nawet założyć spełnienie się w Arabii cudu władzy doskonałej, to także ona nie spowoduje absorpcji przez małe tamtejsze gospodarki rewolucyjnego wyżu demograficznego, stanowiącego dziś ponad połowę ogólnej populacji. A to oznacza przewlekły ferment społeczny, rozczarowanie, wściekłość i w końcu tyranie – najbardziej znany, podręcznikowy schemat większości rewolucji. W końcu – po trzecie – reakcyjniści podnoszą mocny argument historyczny. Iran 1979, Algieria 1990, Liban 2005, Palestyna 2006 – wszędzie tam zaczynało się od wielkich demokratycznych złudzeń i kończyło po jakimś czasie rządami ugrupowań semiterrotycznych ( Hamas, Hezbollah), oszalałą teokracją (Iran) albo – w najlepszym razie – puczem wojskowym i wojną domową

29 Por. przyp. 16.

30 Por. Michael Zantovsky, *On the Nature of Transitions*, „World Affairs Daily” February 16<sup>th</sup>, 2011.

(Algieria). We wszystkich tych przypadkach Zachód wsparł tamtejsze ludowo-rewolucyjne żądania i musiał tego potem żałować. Czy ktoś potrafi wykazać – tryumfują reakcjoniści – dlaczego tym razem miałyby być inaczej? Znakomitym przykładem takiego stylu myślenia są analizy świetnego izraelskiego politologa Barry Rubina. Dla niego zmiana w Egipcie jest po prostu „największą katastrofą od czasu irańskiej rewolucji”<sup>31</sup>.

Tam jednak, gdzie przekroczony został próg chaosu, rzeczy wcale nie muszą podążać utartymi koleinami. Porównania z historią „Solidarności” nie można zlekceważyć: wedle logiki świata powojennego ruch tamten musiał sprowadzić na Polskę, a konsekwencji na Europę łatwo wówczas przewidywalny ciąg nieszczęść. W sensie historycznym istnieje niebłahy związek obu zjawisk. W kategoriach pojęciowych stworzonych przez Francisa Fukuyamę panarabska rewolucja – tak samo jak „Solidarność” – jest być może ostatnim akordem „trzeciej fali demokratyzacji”, albowiem likwiduje post-sowieckie rezydwa, istniejące w politycznej rzeczywistości świata w 20 lat po upadku ZSSR. Dotyczy to przynajmniej dyktatur w Tunezji, Egipcie, Libii i Syrii – czyli wszędzie tam, gdzie geneza tyranii tkwi w dawnym lewicowym puczu, wykorzystanym i aktywnie wspartym niegdyś przez Sowietów. Tymczasem arabska polityczna rzeczywistość po pierwszych zwycięstwach rewolucji ma się nijak zarówno do przewidywań „reakcjonistów”, jak i do „oświeceniowych” mrzonek. Znacznie prawdziwiej opisuje ją slogan o „trudnej wiosnie demokracji”<sup>32</sup>. Nowi premierzy: Szaraf w Egipcie, Essebsi w Tunezji i Dżibril w Libii – to politycy umiarkowani, wyraźnie chcący doprowadzić swoje kraje do uczciwych wyborów. Zbiorowe emocje Egipcjan i Tunezyjczyków dominuje dziś potrzeba sprawiedliwości i rozliczenia przeszłości, nie dziwota, że ministrowie spraw wewnętrznych obu dyktatorów zostali aresztowani pod

---

31 Barry Rubin, *Egypt Crisis Worst Disaster Since Iran's Revolution*, „The Jerusalem Post” January 31<sup>st</sup>, 2011; tenże, *The Revolt in Egypt and US Policy*, „Israel Insider” January 29<sup>th</sup>, 2011 (przeł. na j. polski M. Koraszewska, racjonalista.pl [dostęp: 30.03.2011]), tenże, *What Does the Egyptian Revolution Mean For Israel?*, „Israel Insider” March 1<sup>st</sup>, 2011. W polskiej publicystyce stanowisko „reakcyjne” najmocniej wyraził dotąd Łukasz Warzecha, *Bez pomysłu na Libię*, „Rzeczpospolita” 22 marca 2011.

32 Por. *Democracy's Hard Spring*, „The Economist” March 12<sup>th</sup>-18<sup>th</sup>, 2011.

zarzutami licznych zabójstw. Trwa żmudny proces oczyszczania uniwersytetów, służb państwowych, mediów, stowarzyszeń z partyjnych nominatów i policyjnych konfidentów. Pokolenie „post-fundamentalistyczne” – jak je trafnie nazwał inny intelektualista francuski Olivier Roy<sup>33</sup> – praktyczne i nastawione na istotne podniesienie standardu życia – wykazuje zarazem silne przywiązanie do religii, której nie traktuje jednak jako przedmiotu polityki. Wobec decydującej przewagi, jaką – z racji swej liczebności – to pokolenie mieć będzie przy wyborach, dość prawdopodobnie wyglądają informacje, że islamistyczne Bractwo Muzułmańskie w Egipcie najpewniej nie podejmie walki o prezydenturę i zrezygnuje z pierwszego postulatu islamskiej teokracji: kontroli mułłów nad prawem państwowym<sup>34</sup>. Po zburzeniu przez fanatyków koptyjskiego kościoła w egipskiej prowincji Helman muzulmańscy aktywiści rewolucji ostentacyjnie wsparli jego odbudowę, zaś po zamordowaniu polskiego salezjanina ulicami Tunisu przeszedł 15-tysięczny młodzieżowy pochód skandujący: „Terroryzm nie jest tunezyjski” oraz „Religia jest sprawą prywatną”<sup>35</sup>. Chwiejność wspólnoty międzynarodowej w szybkim doprowadzeniu do upadku Kaddafiego każe wprowadzić nadal z obawą myśleć o przyszłości tego kraju; fundamentalizm był bowiem silny w Cyrenajce i stamtąd wywodzili się – ponoć po części wracający – aktywiści Al Kaidy, a wśród nich najślynniejszy – Al Libi, który zbiegł z więzienia Bagram i ponoć próbuje mobilizować dżihadystów w Libii. Pośrednio potwierdził zasadność takich obaw dowódca NATO admirał Stavridis swymi zeznaniami przed komisją senacką<sup>36</sup>. Ale z drugiej strony to uratowana przed zemstą Kaddafiego Cyrenajka stała się przecież szczególną sceną prozachodnich nastrojów i uniesień. Według Amerykanów Kurzmana i Naqwiego, którzy krótko przed rewolucją przeprowadzili

33 Por. Olivier Roy, *Fundamentalisci z ludzką twarzą*, „Gazeta Wyborcza” 21 lutego 2011.

34 Por. *Democracy's Hard Spring*, art. cyt.

35 Por. Wojciech Lorenz, *Tunezja w szoku po zabiciu polskiego księdza*, „Rzeczpospolita” 21 lutego 2011.

36 Por. Robert Stefanicki, *Dżihad wraca do Libii*, „Gazeta Wyborcza” 15 marca 2011; Stavridis: *Signs of Al-Qaida in Libyan Rebels*, Associated Press, March 29<sup>th</sup>, 2011.

badania nad trendami politycznymi w islamie – od połowy lat 90. XX wieku następuje ciągła „liberalizacja” programów politycznych partii islamskich w całym świecie, zaś „główny nurt” muzułmańskich społeczeństw jest – jak to określają – „konserwatywny kulturowo i liberalny politycznie”. „Gdyby muzułmanom pozwolić swobodnie głosować na islamistów – nie mieliby oni wielkiej skłonności po temu” – taką oceną kończyli wiosną 2010 roku swój raport z badań, sądząc zapewne, że formułują niemal utopijną hipotezę<sup>37</sup>. To prawda, że możemy mieć obecnie ledwie szczątkową diagnozę społeczną porewolucyjnej Arabii. Ale z pewnością nie potwierdza ona *a priori* gruntownego pesymizmu co do kształtu przyszłych demokratycznych rozstrzygnięć.

To nie znaczy, że perspektywa demokracji arabskiej nie powinna już nikogo na Zachodzie niepokoić. Przeciwnie. Nawet znany obrońca arabskiej sprawy w USA Hussein Ibish uważa „niepohamowaną demokrację arabską” za jedno z trzech największych porewolucyjnych zagrożeń, obok groźby ustabilizowania się tam reżimów wojskowych (Egipt) albo przewlekłej terytorialnej dezintegracji (Libia)<sup>38</sup>. Owszem, będzie mieć znaczenie, kto będzie obejmował władzę w porewolucyjnych krajach arabskich, ale być może jeszcze ważniejsze będzie, czy projektowane dzisiaj instytucje konstytucyjne stworzą jakieś hamulce na wypadek demokratycznego arabskiego szaleństwa. Ten sam Ibish walczy wprawdzie dość przekonywająco z „mitem arabskiej ulicy” traktowanej w Europie jako motłoch, ale nawet jeśli Kair i Tunis dostarczyły mu ostatnio sporo argumentów – trzeba by wielu lat nowych, dobrych doświadczeń, aby uznać, że antyamerykański albo antyżydowski fanatyzm arabskiej ulicy właśnie odchodzi do przeszłości. Dopiero co reprezentanci wyidealizowanych trochę przez nas dzieci Tahrir z „iskrami w oczach” odmówili siedzenia przy wspólnym stole w Kairze z Hillary Clinton, argumentując, że „Ameryka jest być może naszym przyjacielem od tygodni, ale była wrogiem przez lata”, zaś z Ammanu mogliśmy usłyszeć głosy tamtejszych młodzieżowych

---

37 Por. Charles Kurzman, Ijlal Naqvi, *Do Muslims Vote Islamic?*, „Journal of Democracy” April 2010, vol. 21, no. 2.

38 Por. *Riz Khan Show on The Myth of the Arab Street*, Al Jazeera, March 25<sup>th</sup>, 2011.

palestyńskich liderów, mówiących hamasowskim językiem agresji na temat Izraela<sup>39</sup>. Zachód będzie mieć znikomy wpływ na wynik pierwszych wolnych wyborów, gdziekolwiek one się odbędą po rewolucji. Ale może dzisiaj mieć pośredni wpływ na to, jak zaprogramowane zostaną nowe instytucje polityczne. Ograniczenie demokratycznej władzy w systemie *check-and-balance* winno stać się dziś dla wszystkich rządów i organizacji mierzących porewolucyjne demokratyczne standardy w Arabii kryterium najważniejszym. Albowiem nawet islamiści u władzy, spętani sztywnymi regułami konstytucyjnymi, powinni okazać się mniej groźni, niż się wydają. Piotr Kalwas, polski pisarz i muzułmanin, który z Warszawy przeniósł się do Aleksandrii, rysuje model przyszłej hipotetycznej demokracji egipskiej jako „kraju wyraźnie muzułmańskiego z bardzo wieloma elementami demokracji zachodniej”; komentator „The Economist” ten sam projekt ustrojowy określa terminem: „demokracja z religijnym nachyleniem”<sup>40</sup>. Nie ma dziś rzeczy ważniejszej, jak to, aby Monteskiusz – i to w jak najtwardszej interpretacji – stał się pierwszym spośród owych transponowanych do Arabii „elementów demokracji zachodniej”, tym bardziej, że sprzyja temu dzisiejsza nieufność arabskiej ulicy do każdej formy nazbyt silnej władzy. Jeśli bowiem po rewolucji powróci tam jakakolwiek forma nawet miękkiej tyranii, będzie to z pewnością tym razem tyrania antyzachodnia. To wymaga wyzwolenia się zachodniej polityki z tradycyjnego preferowania w Arabii rządów silnej ręki, zdolnych do kontrolowania terrorystycznych spisków. Ale z tej perspektywy byłoby także zasadniczym błędem, gdyby główną troską – zwłaszcza Europy – stało się zeświecczenie porewolucyjnych systemów politycznych po to, by dowieść tezy o prawdziwości „ery arabskiego oświecenia”. Oznaczałoby to głupi tryumf ideologii nad polityką. To nie arabski islam jest bowiem porewolucyjnym niebezpieczeństwem. Może nim być natomiast antyzachodni i antyżydowski polityczny fanatyzm, demokratycznie dopuszczony do sprawowania władzy.

39 Por. Jim Sciotto, *The Middle Eastern Revolution's Bloody Second Act*, „World Affairs Blogs” March 25<sup>th</sup>, 2011; *Inside Story*, Al Jazeera, March 27<sup>th</sup>, 2011.

40 Piotr Ibrahim Kalwas, *Kocham Egipt*, „Polityka” 14 lutego 2011; *Who's in charge?*, „The Economist” March 12<sup>th</sup>-18<sup>th</sup>, 2011.

Obszar roztropnej zachodniej polityki rozpościera się pomiędzy mrzonką o oświeceniu a cynizmem reakcji. Życiowe interesy Zachodu w porewolucyjnej Arabii dają się bardzo praktycznie sprowadzić do sześciu fundamentalnych oczekiwań. Po pierwsze – realnego przeciwstawienia się fali terroryzmu, co nie wymaga koniecznie ścisłego wojskowego sojuszu z Zachodem. Po drugie – powstrzymywania się od szantażu energetycznego, z czego nie wynika potrzeba uprzywilejowania zachodnich odbiorców ropy naftowej. Po trzecie – negocjacyjnego traktowania konfliktu z Izraelem, co nie wyklucza mocnego wspierania planu budowy niepodległej Palestyny. Po czwarte – zapobieżenia prześladowaniom mniejszości, zwłaszcza chrześcijańskich, co wcale nie wymaga konsekwentnie świeckiego państwa. Po piąte – elementarnej odpowiedzialności finansowej i ekonomicznej, co nie musi skutkować ani obowiązkiem respektowania tak zwanego „konsensusu waszyngtońskiego”, ani posłuszeństwem względem Międzynarodowego Funduszu Walutowego. I po szóste – zachowania rezerwy wobec antyzachodniej „osi autokracji” – wedle określenia Roberta Kagana – montowanej głównie przez Chińczyków (czasami Rosjan), co nie ma nic wspólnego z polityczną zależnością od USA. To oczywiście niemało, jeśli wziąć pod uwagę, że dla amerykańskiego mocarstwa gwarancją tego wszystkiego jest stała obecność wojskowa w regionie, z kluczową Piątą Flotą na czele. Jednak w obliczu lawinowo rosnącej przewagi demograficznej Arabom nie może się przytrafić nic lepszego niż dłuższy okres miękkiego wzajemnego przenikania i otwarcia, zwłaszcza na Europę. Perspektywicznie to i tak oni będą silniejsi. Ale tak samo nic lepszego u początku XXI wieku nie może się przydarzyć Europie, coraz bardziej wystraszonej narastającymi wewnętrznymi skutkami konfliktu cywilizacji. Owszem, reakcyoniści mają rację: powściągliwe ostatnio dyktatury arabskie dawały nam – ludziom Zachodu – większe poczucie bezpieczeństwa na krótką metę. Ale na dłuższą – realny pokój będzie można zawrzeć tylko z ludowymi arabskimi demokracjami, a one zapewne stawiać będą trudniejsze warunki niż podminowane wewnątrz dyktatury, nie mówiąc już o życzliwych Zachodowi konserwatywnych monarchiach. Nie wiemy dzisiaj ani tego, czy owe demokracje powstaną, ani czy tego pokoju zechcą. Pewne jest tylko jedno. Przekroczenie granicy chaosu sprawia, że możliwe staje się to, co miało

być niemożliwe, a taka chwila to jedyna szansa na wielkość i sprawczość polityki. Nicolas Sarkozy w jednym zapewne ma rację. Jeśli w efekcie obronionej przez Zachód Arabskiej Wiosny 2011 nie uda się przełamać narastającej od 11 Września fali wrogości, pewnie już jej się nie uda przełamać wcale. Ale wtedy Arabia będzie znaczyć na Zachodzie już tylko „ropę i krew”<sup>41</sup>.

**Jan Rokita**, urodzony w 1959 roku, uczestnik antykomunistycznej opozycji, polityk, publicysta. Obecnie wykładowca w Wyższej Szkole Filozoficzno-Pedagogicznej „Ignatianum” w Krakowie.

---

41 Por. *Blood and Oil*, „The Economist” February 26<sup>th</sup> – March 4<sup>th</sup>, 2011.